

MARGINALIA

Zaczynam tę rubrykę z pewnym niepokojem. Jak ją przyjmą Czytelnicy? Czy nie będą mieli za złe, że obok tekstów poważnych, źródłowych pojawi się felieton a w najlepszym razie mini-esej? I druga obawa, by tego co piszę nie przyjęto za próbę kokietowania czy bawienia. Chciałbym bowiem rejestrować na tym miejscu fakty, luźne myśli, wspomnienia, relacje o ludziach i wydarzeniach, szkice i notatki. Na prawach dziennika z pamięci.

Sądzę, że w natłoku wydarzeń, których jesteśmy świadkami, kiedy nie można ich jeszcze, jak figi - ucukrować, taka forma rejestracji zdarzeń i myśli może mieć sens. Zwłaszcza, że pisana jest przez kogoś, kto sporo widział i zachował jeszcze zdolność dziwienia się i ciekawość świata.

Ponieważ zarówno w tym, jak i w następnym numerze „Polskiej Sztuki Ludowej” dominuje zainteresowanie symboliką ojcowizny, domu, chciałbym dorzucić kilka wspomnień i uwag, nie o domach „jako takich”, lecz konkretnych, takich, które stały się formą ekspresji ich twórców, wyrazem ich osobowości. Poprzez tę refleksję-wspomnieniem.

Serce domu

Czy dom ma serce? Etnolog powinien mnie w tym momencie zabić. Takim językiem się nie mówi, takich pytań nie zadaje. Ale skoro zadałem - odpowiem: Oczywiście! To serce można zresztą określić inaczej, jako centrum, miejsce w którym kondensuje się życie rodziny, ale nie zmienia to faktu, że da się ono dostrzec na różnych etapach przemian w kulturze. Na końcu tej drogi będzie zwłaszcza u nas, w pokoleniach średnich i starszych, miejsce przed telewizorem. Tam w jego zasięgu ogniskuje się życie domu. Tam, jak niegdys przed kominkiem, sadza się gości, rozmawia lub milczy, wymienia konwencjonalne uwagi. Telewizor fascynuje jak płomień, w który się wpatrujemy, a jest to ten rodzaj fascynacji, który wydaje się bliższy hipnozie, wpatrywaniu w szklaną kulę, niż pobudzeniu myśli.

W erze przed-telewizorem takim miejscem, w którym kondensowało się życie rodziny była kuchnia, pokój przy kuchni, pokój ze stołem, nad którym wisiała duża lampa - jak symbol domowego ogniska. Zawsze więc występował w kontekście bezpośrednim lub ukrytym - ogień, światło i ciepło.

Na wsi sercem kuchni był piec, z niszą do pieczenia chleba. Gotowano na nim strawę, siadano, polegiwano, spano. I znów - ogień, promieniujące od niego ciepło.

Jak bardzo zakorzenione jest w podświadomości istnienie pieca-ognia, świadczyć może intuicja jego obecności u dzieci, mieszkających w miejskich osiedlach, blokowiskach. W latach sześćdziesiątych dr Izabella Bielicka stosowała przy badaniu dzieci z rozbitych małżeństw (w szpitalu przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie) test rysunkowy. Przed dzieckiem stawiano miseczkę z farbami i proszono by namalowało kilka obrazów, ale direct, opuszkami palców, bądź całą dłonią. Niemal wszędzie pojawiał się dom - chałupa, z kominem na dachu. Dzieci o psychice niezakłóconej malowały drzwi i biegnącą do nich dróżkę, i co szczególnie istotne - zawsze lecący dym z komina. Tego dymu nie było na rysunkach dzieci, pozbawionych normalnego domu rodzicielskiego. Dym okazał się symbolem życia domu. Dym - produkt ogniska domowego. Sprawdziłem, powtarzała się ta konstatacja w dowolnie wybranych kilkudziesięciu teckach „personalnych”. A było ich wówczas ponad 7.000. Skąd ten dym-symbol? Trudno uwierzyć, że te dzieci miejskie, kojarzyły na podstawie obserwacji dym z obecnością rodziny. Przecież nie mogły przeprowadzać rozumowania: dobra rodzina = dym; rozbita, zła = brak dymu! Podejrzewam, że skojarzenia te wiązały się z archetypicznym podtekstem, a dym symbolizował istnienie domowego ogniska, i to w sensie dosłownym. Mieliliśmy więc ciąg skojarzeń: dym - piec - ogień - a wcześniej, ognisko.

Przypominam sobie, jak w początkach grudnia 1939 r. znalaz-

łem się na pasie granicznym między Niemcami a Sowietami. Było to koło Zambrowa. Tłumy przechodziły w obie strony, wędrowały z całym dobytkiem, kto się kogo więcej bał - szedł na drugą stronę. Jeszcze dobrze nie wiedzano, kto i dla kogo gorszy. Więc my akurat na tym pasie, a i ci, i ci zdecydowali zamknąć dotąd otwartą (pół-otwartą) granicę. Płacz, szamotanina, ci strzelają, tamci krzyczą i kłują bagnietami. A tu zima, śnieg. Trwało to kilka dni, więc rozebraliśmy płoty, zabrali co się dało do spalania - i każda rodzina miała swoje ognisko, przy którym można się było ogrzać, spać na tłumokach i walizkach. Chodziliśmy z wizytami, po kilku dniach już się znało kilka rodzin. I wtedy późnym wieczorem, powiedziałem do mojej żony - chodź pójdziemy do domu. Tak, do domu. Pamiętam do dziś tę nieoczekiwaną i naturalną konstatację. Dom to były nasze bety, nasze miejsca, nasze ognisko. Później widziałem tysiące spalonych domów. Wszędzie sterczały kikuty kominów, przewodów ogniowych sięgających do mniej czy bardziej rozłożystych pieców. Pogorzelnicy gromadzili się przy nich, gotowali, jedli. Taki niezamierzony symbol - jak już wszystko uległo zniszczeniu, zostawał piec - serce domu.

Dom - wizytówka

Mój dom - moja twierdza, powiadają Anglicy. Dom zapewnia bezpieczeństwo, komfort psychiczny bycia sobą i posiadania. Często, a zaczyna się to już od dzieciństwa, w pokoju, domu tworzymy swój własny świat, swój azyl. Dom staje się miejscem samorealizacji, ekspresji osobowości właściciela. W ten sposób dom, jak i człowiek, ma swój charakter. Pokaż mi swój dom, powiem ci, kim jesteś, jaki jesteś! Pedant, niechluj, rozpiera cię ambicja, nie przywiązujesz wagi do tego, co powiedzą inni, wręcz przeciwnie, to jest dla ciebie najważniejsze - widome szczebła sukcesu, awansu życiowego, który ujawnia się w stosunku do domu, samochodu, psa a nawet żony. Oto dzielnica willowa w Suwałkach, 1988 rok. Od razu widać zmianę w modzie architektonicznej. Na głównych ulicach miasta powstały domy, będące zaprzeczeniem idei funkcjonalizmu, zaprzeczeniem także szarego, bezosobowego budownictwa „mieszkaniowego”. Nazywają je „Malborki”, nie głupio, w tych liniach krętych, wklęsłościach i wykuszach, cylindrycznych klatkach schodowych, nadbudówkach, balkonikach jest coś z pychy krzyżackiego zamku ale i z szaleństwa śmietnika podniesionego do rangi dzieła sztuki. A że w mieście Malborki, w dzielnicach willowych też ta sama tendencja, każdy dom nieco inny, prześciga się w bogactwie dekoracji, brązy szlacheckich tynków sąsiadują z chropowatością beżowych płaszczyzn, dachy coraz częściej łamane, dziwaczenie świadczy o postępie z duchem czasu. Nowe dzielnice są wizytówką finansowych karier, pozycji społecznej. Tu łączą się ze sobą grupy, tworzące arystokratyczną elitę, klasę posiadaczy. Kolejno pytam właścicieli, kim są - stolarz, dentysta, były wysoki dygnitarz, ginekolog, właściciel warsztatu samochodowego, były sekretarz partii, znów stolarz, ogrodnik, znów ktoś z nomenklatury. Biedne jest dziecko ze skromnego domku wciśniętego między te wille!

Wchodzę do wnętrza, przyjmuje mnie pani stolarzowa. Dumna. A tu aż kluje oczy bogactwo połączone z brakiem smaku. Myśl - kicz. Jak się Panu podoba? Co mam powiedzieć? Obrać kobietę zaharowaną gorzej niż łódzka włókienka. Te dywany, tapety, obrazy, żyrandole złocone się mosiądzem, parkiety precyzyjnie (stolarz!) ułożone w brzydkie wzory, włoskie meble - przecież to sukces życia, świadectwo, że się do czegoś doszło. Że się coś zostawi dzieciom, że się będzie „kimś” w ich pamięci. Zasada tych mieszkań i domów jest taka sama - podobnie jak mają zamożni (bądź wpływowi - ale to przecież znaczy to samo)

sąsiedzi, tylko jeszcze fikuśniej, jeszcze bogaciej. A więc zasada ta sama, którą widać w przemianach stroju ludowego, np. w haftach cyfrowanych portek góralskich, kiedy to zamawiający żąda od krawca, by mu hafatował parzenicę większą i piękniejszą niż zrobił sąsiadom. Chciałoby się powiedzieć, nie ma niczego gorszego niż bogactwo połączone ze złym smakiem, bogactwo do którego się kulturowo i psychicznie nie dorosło. Właściwie można by od tej strony napisać historię kultury, „cywilizowania się” bogatych, dojrzewania do swojej kondycji. Dojrzewania do ambicji mecenasowskich... Można by też i od tej strony spojrzeć na historię chłopskiej sztuki użytkowej - w której motorem rozwoju byli bogaci gospodarze (zwł. po uwłaszczeniu w Galicji), maleńcy medycusze, zamawiający i utrzymujący biednych artystów - hafciarki, krawców, stolarzy, kowali, cieśli... Tylko, że tak w Renesansie, jak i kulturze chłopstwa galicyjskiego schyłku XIX w. działało się to wszystko w świadomości istniejących wzorców estetycznych odbiorcy, zgodnie z obowiązującymi modami.

Jeśli dziś podziwiamy bezbłędną organizację formy w każdym dziele, czy to Renesansu, czy dawnej sztuki chłopskiej, nie dostrzegając zakłóceń, które byśmy mogli nazwać kiczem, dzieje się tak z co najmniej dwóch podstawowych przyczyn. Pierwszą jest zgodność podstawowych kanonów estetycznych, twórców i odbiorców. Była to jakby przestrzeń, w której realizowały się zarówno akty twórcze jak i potrzeby odbiorców. I druga przyczyna - stabilność tych podstawowych kanonów, sprawiająca, iż mimo przemian w szczegółach, sam wzorec postaw trwał stosunkowo długo, będąc naturalną szkołą „smaku”, ogólnie zrozumiałego „stylu”.

W naszym czasie te trzy estetyki: twórcy, odbiorcy i dzieła uległy zakłóceniu. Zmieniły się autorytety, wzorce, migracje w społeczeństwie przyczyniły się do przejmowania, bez zrozumienia ich istoty, wzorców innych warstw. Kultura stała się kiczorodna. I właśnie dlatego apele w prasie (były takie!), by walczyć z kiczem, trafiały na próżnię. Rozpoznawano nie kicz - jako zjawisko - istniejące na różnych poziomach kultury, lecz konkretną, nazwaną i ośmieszoną jego postać, np. makatki z jeleniem na rykowisku. Tu przypomina mi się, jak kiedyś, w pięćdziesiątych latach zaprosił mnie do swej rezydencji nasz ambasador w Belgradzie. Pan się zna na sztuce, to Panu coś pokazać! to nie moje - machnął ręką - kiedy przechodziliśmy przez holi salonik, urządzone „oficjalnie” przez architekta z MSZ, ale tu, niech Pan patrzy! powiedział z dumą. To wszystko urządziła moja żona, no i ja! Staliśmy w koszmarnej sypialni, przybranej wstążkami, narzutami z frędzlami, wielkie, podwójne łóżko na środku, nad nim makatki - na czerni aksamitu białe kotki, z różowymi kokardami, prawa nóżka opiera się na pileczce.

Nie wytrzymałem, coś musiałem bąknąć nie tak, bo ambasador (hydraulik z zawodu) zdenerwował się. - Panie! - powiedział kicz to wtedy, gdy jest jelen na rykowisku!

Przydługa ta dygresja miała na celu poświadczyć, jak bezradni jesteśmy, walcząc z objawami, jak daremne są wysiłki „oduczenia”, gdy istota polega na niskiej kulturze plastycznej, braku przekonujących i z sensem lansowanych wzorów pozytywnych, no i na tym, co już powiedziałem - na charakterze naszej cywilizacji, na kiczorodności różnych form kultury masowej... Zresztą dla etnologa istotne jest dostrzeżenie faktu w kontekście czasowym i przestrzennym, a nie wartościowanie z pozycji innej warstwy społecznej, innych wzorów etycznych czy estetycznych.

Wszelkie etykiety - kicz, arcydzieło - mogą wręcz osłabić zdolność dostrzeżenia tego, co istotne i ciekawe w kontekście kulturowym, socjologicznym czy psychologicznym. Świadczy o tym przykład następujący:

Dom jako ekspresja osobowości jego twórcy.

Dom ten stał się dziełem życia, ucieleśnieniem marzeń, aktem twórczym. Przed kilkunastu laty wywoływał duże emocje, dziennikarze osaczyli go jak psy, pisano o nim w kolorowych tygodnikach, gazetach. Pluto, że kicz, denerwowano się, że coś takiego widnieje przy ważnej arterii, Szosie Krakowskiej w Łodzi. Władze miejskie musiały zakręcić na drodze, tuż za domem, wyłożyć oponami z ciężarowych samochodów, gdyż kierowcy widząc willę z 1500 kolumnkami przestawali uważać na drogę i wylatywali z zakrętu. Kiedy tam byłem słyszałem o 6 wypadkach, pewno było ich więcej.

Dom zafrapował mnie, napisałem do właściciela, zgodził się na wizytę. Spędziłem w tym domu cały dzień, ujęty serdecznością gospodarza, ciągle odkrywając coś nowego dla siebie. Najważniejszym odkryciem było to, że przestalem wartościować, nawet tylko myśleć w kategoriach „kicz - niekicz”. Jeśli nawet użyć tego pojęcia, to ten dom był poematem wysnutym z kiczu, czego nie mógłbym powiedzieć o Pałacu Kultury i Nauki! Był produktem nie tyle czasu, co osobowości właściciela. Konsekwentną projekcją jego osobowości. Delikatny, szlachetny ten człowiek nie wolny był od naiwności, czego przejawem było to, że swych upodobań nie skrywał, przeciwnie, chciał by wszyscy mogli podziwiać willę, na której schodach, tarasach i dachu znalazło się te 1.500 gipsowych „tralek”, a w ogrodzie kamienny kopczyk z krasnalem, wokół zaś inne figurki, zaby, ptaki. Wszystko kolorowe. Było dla niego oczywiste, że to wszystko jest piękne, tym boleśniej przyjmował kpiące artykuły w prasie. Ale, by zrozumieć jego postawę, trzeba było wejść do środka, pomyśleć, pomówić. Spojrzeć na ten dom przez pryzmat człowieka, który mógł i umiał go stworzyć na miarę swoich życzeń. O wyglądzie zewnętrznym powiedziałem już. Dodam - wielkość sporej willi (na parterze 1 duży i chyba 2 mniejsze pokoje, hall, rozłożysta klatka schodowa), tynk biały w poprzeczne, niebieskie pasy. Ogród, zieleń, kwiaty. Pierwsze wrażenia gdy się weszło do środka - wspaniałe trofea myśliwskie, na polerowanych drewnianych kartuszach ogromne lby - jeleni, dzików, czegoś tam jeszcze. Gospodarz kupił je zaraz po wojnie, pochodziły z kolekcji Goeringa.

Na piętrze aż łśni od złota. Figurki piękne, muzealnej urody i jarmarczne. Galimatias, różnice klas niebotyczne, wartości także, ale gospodarz zdaje się nie czynić nimi różnicy. Tłumaczy, lubi wszystko złote. Złoto czy tombak, istotne że ma złocisty blask. Pieniądz nie odgrywa tu roli, gospodarz równie chętnie kupował w Desie jak na odpuszcie. Przyznam, że tym mnie ujął, szaleństwo podszyte naiwnością i szczerym uczuciem potrącając pewnie we mnie jakieś współbrzmienie struny. Gospodarz prowadził, oglądaliśmy figurkę po figurce. Na biurku staroświecki kałamarz. Niech Pan patrzy, unosi złocisty kołpaczek, przykrywający naczynie z atramentem, osadzone w... końskim kopytku, oczywiście obrzeżonym złotymi listewkami. Też z kolekcji Goeringa, dodaje, otrzymał ją od króla Anglii Jerzego V. Była to pamiątka po ulubionym koniu. Gdy padł, monarcha zamartwił się wielce i kazał, by mu na pamiątkę zrobiono z kopyt kałamarze.

W piwnicy oglądam formę i prasę do wyrobu kolumnienek. Pani domu wspomina, ile to było pracy, sami je odciskali... Pytam z lekkim zazenowaniem - skąd środki? Biedny nie był, a później założył warsztat, wyroby z plastiku, jakieś grzebyki, wisiorki, to nie temat do rozmowy. Coraz mi bardziej sympatyczny ten gospodarz. Oglądam książki, rozmawiamy o nich.

No i taki jest ten dom. Jego dom. Jego radość, choć i troska. Mówią o tym domu kicz. Może. Coraz mniej to słowo tłumaczy, coraz mniej mnie obchodzi. Kicz jest widoczny tam, gdzie następuje zakłócenie estetyki, jednej kultury. Kicz jest więc nieodłączną cechą naszej rzeczywistości, na każdym „piętrze”. - Kicz - galowy koncert „Artyści dla Rzeczypospolitej”, kicz w kościele, kicz - piosenkarka, a może nie kicz? bo jakby sama się z siebie śmieje. Taka Danuta Rinn. Więc nie kicz. A Violetta Villas - kicz, bo poważna. Na serio się miota, płacze, włosy rozruca. Tysiąc, milion oblicz kiczu. Jak lustro, które odbija epokę. Kicz jest wszędzie, więc już jakby go nie było. Wszystko zależy od umowy, jak co się odbiera. Na zimno, serio - nie ma go, Bauhaus mógł być w czymś zły, ale na myśl nam nie wpadnie powiedzieć kicz. Komandosi, wojsko - nie te sprawy, ale kompania reprezentacyjna, tupanie, unoszenie nóg, marsowe miny, to aby nie kicz? Wiem, te parady może kogoś - gdzieś wzruszą, ale kicz jest właśnie wtedy! w tanim wzruszeniu, w fabrykowaniu wzruszeń.

Dość o kiczu. Dom, o którym piszę, który był przed 20 laty, bo dziś już i inni ludzie w nim mieszkają, i wszystko już nie takie, otóż ten dom wspominam ciepło, serdecznie. To było dzieło życia człowieka, który bardzo, ale to bardzo kochał wykwić, a symbolem elegancji było dla niego wszystko co złociście się łśniło.

Ryszard buduje swój dom już 12 lat. Zimą w Katowicach maluje, wykonuje prace graficzne, chałtury, jakieś kalendarze - to mu daje środki na budowę. Budowie podporządkował wszystko,

nawet miał się przenieść na ziemię bliżej, może do Suwałk, Sejny? Od wiosny do późnej jesieni mieszka w małym baraczkach, obok domu. W tym czasie urodziło mu się dziecko, doszło do 5 roku życia, bawiąc się wśród bal modrzewiowych, strużyn i kamieni. Ryszard nie miał domu rodzinnego, wychowywał się w domu dziecka, jest średniego wzrostu, ale bardzo silny. Jak coś postanowi, to robi, choćby to miało trwać nie wiem jak długo. Jest prosty w najpiękniejszym sensie tego słowa, bez pozory, fałszu. Trochę jak wielkie dziecko. Mądre, ucziwłe, ufne mimo doświadczeń, których życie nikomu nie skąpi. Ma żonę, też z branży artystycznej, o wielkim uroku, spokojną, wyrozumiałą i dumną z Ryszarda. Do rodziny należy jamnik - Figa. W lecie obok izby-baraczkach zawsze tłum gości. Przyjaciele, znajomi. Obok Ewy, to jej domena. Cały więc dzień - gotowanie, mycie naczyń, robienie zakupów, szukanie grzybków, znów gotowanie, rozmowy... Czasem już w nocy nad jeziorem niesie dźwięki fortepianu. Ryszard gra. Fortepian stoi w tym baraczkach! To nieprawdopodobne, że wszyscy się w nim mieszczą. Bujne życie, a on jakby wyizolowany, pracuje. Wszystko, co się da, robi sam. Ale jak! precyzyjnie, pasując belki tak jak przy stolarskiej robocie. Kliny, rygle, zamki, żadnych gwoździ, wszystko „na pas”. Drewno suche, przecież gromadzone i suszone przez lata, żadnej szczeliny, którą się zatka mchem. Ryszard nie buduje chłopskiej chałupy, bele ociosuje do kształtu prostopadłościanu, zestawia mierząc dokładnie, żadnej fuchy, jak kolbuszowskie komody czy jak klocki Lego. Tyle że trwałe, tu już niczego nie rozerwiesz. Ryszard buduje dom, który jest zaprzeczeniem naszego czasu. Śmiejmy się, bo nie wiemy, czy świat potrwa trzy tygodnie - mawiał Baumarchais. Może i nie potrwa, ale dom zostanie. Na podmurówce z głazów, kamieni polnych. Całe piętro tych głazów, też pasowanych jeden do drugiego. Sam je tu przytaszczył, gdzieś miesiącami wypatrywał, potem sam ustawiał. Jak? wymyślił proste i skuteczne metody, przecież kopułę Św. Piotra też budowano bez dźwigi! Ryszard by pewnie sam tę kopułę zbudował, ale to by mu zajęło całe życie, a resztą urodził się za późno. Wyważa belki, długie na 10 metrów, ciężkie, nie do uniesienia, potem „sposobem” unosi, klinuje, podpira, znów waga, klin, podpora... Z tych lat 12, co najmniej 6 zabrała sama budowa, odpada zima, deszcze, okresy gdy był zagranicą ze swymi obrazami. Mógł zrobić dawno dom, który by przetrwał kilkadziesiąt, no - sto lat. Bez tej katorżnej, zegarmistrzowskiej pracy. Ale Ryszard postanowił, że będzie miał dom, który zostanie, gdy się już dawno rozpadną bloki mieszkalne i wieżowce. Dom Ryszarda jest symbolem, celem w życiu. Czasem, pewnie szczerze, narzeka, że stał się niewolnikiem tego domu, że by to sprzedać, zostawił... Tak mówi, poczem robi dalej. Kiedy patrzy na niego przychodzi mi na myśl chłop - Jan Stach, który po kłótni z sąsiadem o drogę, postanowił wybudować most na rzeczce, i przez kilkanaście lat - krową taszczył kamienie, sam je układał i nie wiedząc nawet o tym wybudował most, jota w jotę, jak dawne romańskie. Widziałem kronikę filmową - zabawa, stół zastawiony jadem, ludzie ze wsi, dziennikarze, władze, toasty a on smutny, bez uśmiechu. No, skończył. I co dalej? Chciałem nawet do niego pojechać, zobaczyć, co robi, co myśli, czy ma teraz po co żyć?

To problem: zrealizować cel życia i jak żyć dalej? Jacek Olędzki opisał w art. *Dywan na suficie* (PSL 1977 nr 2) młodego człowieka - Waldemara Paciuka, dekoratora, który po przejściu na rentę najpierw wyremontował zamek - pałac w Krzeszowie, a później wynalazł koło Walbrzycha, w Strudze, zdewastowany pałac. Zamieszkał w nim. Założył hodowlę przepiórek, by mieć pieniądze na remont, sprzedawał jajka, póki była na nie moda, za uzyskane pieniądze kupował szyby i oszklił kilkaset okien, załatał dach, odnowił pokoje, salę balową a ponieważ na ścianie została wielka rama - namalował obraz, najpiękniej jak umiał (łabędzie ciągnące jak rydwan - gondole z pięknymi dziewczynkami w powietrznych szatach...), żyrandole wymyślił ozdobne, błyszczące inkrustacją, szkiełkami - a gdy już pałac był uratowany przyszli działacze z miejscowego koła ZMP, uważając, że będzie to dla nich stosowna siedziba. Wtedy bez skargi, spokojnie - wyjechał, by znów sobie coś znaleźć do odbudowy. Znów mieć cel i satysfakcję. A może już tylko gorycz?

Budowa może dać satysfakcję wyjątkową. Jest celem najwspanialszym, jaki sobie można postawić. Przez to, że ma w sobie

znamię trwałości. Samochód, jacht - to wartości nietrwałe, konsumpcyjne. A dom jest fundamentem rodziny. Małą ojczyzną. Ojcowizną. Jak i ziemia rodzinna. Ale kult ziemi przeminął (nie tylko z winy ustroju) natomiast dom jest tym, co powinno trwać, łączyć. Co się przekazuje dzieciom.

Mimo powojennych migracji wciąż wyczuwa się u nas potrzebę posiadania domu - kotwicy. Domu, który wiąże pokolenia, który jest pamięcią i inicjacją.

Inaczej jest w społeczeństwach koczowniczych, inaczej również w cywilizacjach charakteryzujących się dużą labilnością rodzin. Tak np. w Stanach Zjednoczonych dom i miejsce zamieszkania staje się świadectwem awansu społecznego. Dzielnice deklasują się, wtedy zamożniejsi przenoszą się do innych. Archetyp domu zostaje wówczas stłumiony, związany z nim krąg symboli spłycony, realizowany inaczej.

Dom - ideologia

Nazywają go Słoma. Oczywiście ma imię, nazwisko, ale zawsze się nazywa - bębny Słoma, Słoma to, tamto. Teraz Słoma buduje swój dom. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, badał rzeźbę. Już wtedy wiedział, że to tylko jakiś etap, otwarcie okienka, punkt wyjścia. Mogło być to, mogło inne. Sądzę, że zdawał sobie sprawę z tego, iż inaczej się startuje w jakiejś dziedzinie sztuki, kiedy się ma za sobą doświadczenie innej dziedziny. Pewnie to sprawa samoświadomości, dystansu do tego, co robią i robili inni, zrozumienia roli struktury dzieła, obojętne jakiego. Słoma jest także muzykiem, gra na różnych instrumentach, śpiewa piosenki, które sam układa - z filozofią rastafariańską i jego własną. Realizuje się w życiu i sztuce, właściwie granice zostały tu zatarte, życie kształtuje jak sztukę. Jedność. To jest założenie, ale i naturalna droga życia. Mieszka w osadzie, można ją tak nazwać, ponieważ w promieniu kilku kilometrów mieszkają rodziny jego przyjaciół, czujących i żyjących podobnie. Osadzie jakiej? Boję się, że każde nazwanie przyniesie fałsz, nazwa jest precyzyjna i skuteczna kiedy coś się skończyło, da do czegoś przyrównać, czymś wyodrębnić. A tu - życie. Otwarte. Na ludzi, myśl, wiarę, doznania, wzruszenia. Więc i nazwać trudno, a pewnie i nie trzeba. Słoma, jego żona, otoczenie - są wszystkim zyciowi. Przychodzą do ludzi, sąsiadów z uśmiechem na twarzy. To im bardzo pomaga, trudno bowiem być u nas „innym”, mała jest tolerancja nawet na tę zewnętrzną, niegroźną Inność. Trzeba ludzi oswoić, przyzwyczaić, uszanować. Właśnie to - szanować. Nie łazić goło po łąkach, nie gzić się na widoku wszystkich, nie pracować w dzień święty... Tolerancja jest procesem osvajania, to jak z wiewiórką, trzeba spokojnie, trzeba coś dać z siebie, wzbudzić ufność, wtedy przyjdzie, wskoczy ci na ramiona, szturchnie wilgotnym noskiem.

Słoma chce żyć w zgodzie z naturą, w nieustannym zachwycie. Najpierw gdy przyjechali z żoną nie mieli gdzie mieszkać, więc zaczął budować dom-szałas. Prowizorkę. Z czego żył? Jak od lat, z wyrobu i sprzedaży bębnow. Dużych, małych, drążonych w pniach drewna, zdobionych na wzór afrykańskich. Bębny mają duszę, kiedy się z nimi obcuje widzi się różnice - w tonie, to oczywiste, w charakterze dźwięku, chciałoby się powiedzieć - w zachowaniu. Oczywiście nakłada się tu prymitywna wiedza o magicznej roli bębnow, choć może i dzwonnicy mogliby podobnie powiedzieć o swych dzwonach? Ale wróćmy do tematu. Kiedy już Słoma zamieszkał w swym domu-szałasie, przypominającym stóg siana zaczął kreślić plan trwałej budowli, domu, oktogonałnego. Trudno powiedzieć, czy na początku była idea filozoficzna, czy - chyba prędzej - intuicja, ale jak już się weszło w budowę, swoje prawa dyktował materiał, logika i konkret warunków. Dom powstaje, to już ze 3 lata trwa jego budowa. Dom, który ma w sobie jakiś wymiar sacrum, dom, w którym się mieszka, gotuje, ale i myśli, kontempluje. Dom, który jest zaprzeczeniem Corbusierowskiej „maszyny do mieszkania”. Dom, który sprzyja życiu wewnętrznemu, jest więc funkcjonalny, ale nie jak w Bauhausie.

We wszystkich przykładach, na które się powołuję, wspólnie jest jedno - więź między osobowością człowieka a jego domem. Dom jest tu formą emanacji osobowości, przedłużeniem myśli, idei, upodobań. Podobnie jak u wielu ludzi, którzy domu nie mają i nie będą mieli - taką emanacją osobowości może być i mieszkanie, pokój, a nawet kąpiel.